№ 41. Warszawa, dnia 1 (13) Października 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POETKI CZESKIE.

SKREŚLIŁ

Zenon Przesmycki.

II.

BERTA MÜHLSTEJNOWA.

Poetka ta przechodziła snadź podobne koleje co Studniczkowa, lecz opowiada o nich nie tak po prostu, jak Studniczkowa. Forma jej kunsztowniejsza, myśli może głębsze, lecz za to mniej szczerości, mniej serdecznego ciepła. Urodzona w Welwarach 1847 roku, wydała tomik elegicznych wierszyków p. t. „Pieśni pogrobowe" (Pohrobky). oto, jak wyrażona tu miłość dla kraju:

Wołam rozgłośnie w ciemny bór,
By dalej niósł ten sosen chór,
By każdy o tem wiedział ptak,
Od ptaków każdy róży krzak!
Modrym to górom mówię wkrąg,
Szepczę to strudze pośród łąk,
A struga w dal radośnie łka:
„Że kraj — jedyna miłość ma!"

I zaszumiały liście drzew,
W dal niósł te słowa wiatru wiew;
Tak słodko je wyśpiewał ptak,
Że drgnął z rozkoszy róży krzak,
A góra dała słowom chrzest,
Mówiąc: „Miłość ta dobra jest!"
A struga wciąż radośnie łka,
Że bez obłudy miłość ta.

Pod względem artystycznym wiersz ten niewątpliwie wyżej stoi od odpowiedniego wyznania Studniczkowej, ale za to czuć tu pewną sztuczność, podczas gdy tam przejmowało nas odrazu gorące prawdziwe uczucie.

Pod względem bardziej osobistych wrażeń i uczuć ma Mühlsteinowa wiele podobieństwa ze Studniczkową. Zanim serce jej się zbudziło, myślała, że nic jej nie potrzeba, że życie lekko, bez trosk jej przejść powinno:

Jam jako kwiat, co w szczerem polu rośnie,
Bez żadnych trosk za wiatrem chyli skroń,
Nademną Bóg — i słońce lśni radośnie,
W mą wrzącą pierś z pól wietrzyk niesie woń.

Jam jako ptak, co wolno wzlata w niebo,
Za wolność swą oddałby cały świat,
Jak jemu — mnie — pieśń tylko jest potrzebą,
Nie żądam nic — pałaców, ani chat.

Uwiędnie kwiat, gdy śniegiem sypną chmury,
Westchnieniem ptak zakończy piosnkę swą;
Ja zginę też — po cóż się smucić z góry,
Nim zimna noc zawita w duszę łzą?

(*Lekka myśl.*)

Lecz oto poetka pokochała i wszystko zniknęło z jej duszy, pozostał tylko obraz ukochanego; o nim tylko marzy, myśli i śpiewa:

Jeśli dał Pan Bóg drzewu liść,
Ptaszynom — piosnek zwrotki,
Pszczole — czeremchy wonną kiść,
Z której miód zbiera słodki.

Jeśli dał Pan Bóg ziemi Maj,
Aniołom — szczęście w niebie,
A świętym swoim wieczny raj, —
Mnie dał, o drogi, ciebie!

(*Pieśń.*)

Jednak i ta miłość nie była szczęśliwą; zawód wkrótce widać nastąpił i serce poetki schłodło, zmartwiało:

Zaświeciło wiosną słońce,
Oświetliło małe pole,
Oświetliło nieme groby,
Oświetliło martwe serce.

Zaświeciło wiosną słońce,
Ozdobiło kwiatem pole,
Ożywiło nieme groby,
Nie zbudziło mego serca.

Gorzki ten zawód starł widać wszystkie poprzednie miłe wrażenia, bo oto poetka żali się, że nawet jednego wspomnienia jasnego nie ma z przeszłości:

O, choć jedno, jedno choć wspomnienie,
Jak miesiąca błysk w cieniach wieczora,
Gdy krąg jego patrzy w toń jeziora —
O, choć jedno, jedno choć wspomnienie!

Ludzie zimni! — daj im serce swoje,
Lej im w serca pieśni wrzące zdroje,
Daj im myśl swą, duch natchniony, żywy —
Gdy nie przeklną, toś jeszcze szczęśliwy.

Żyj sam w sobie! — Gdy ujrzysz człowieka,
Taj uczucia, jak mimozy listek.
Który — dotknij! — zwija się ucieka,
Tak ty w łonie kryj skarb uczuć wszystek.

Tylko w cichej samotności dobie,
Łzą goryczy możesz ulżyć sobie,
I znów parę chwil przeżyć szczęśliwie,
Biegnąc myślą po wspomnień swych niwie.

O, choć jedno, jedno choć wspomnienie,
Jako odblask szczęśliwej przeszłości,
Gdybyż mieć tu w pośród nawałności!
O, choć jedno, jedno choć wspomnienie!

(*Życzenie.*)

Podobnie posępnym smutkiem przejęte są prócz tego wiersza liczne inne ustępy; dowodzi to, że poetka nie doszła do rezygnacyi i spokoju, jak Studniczkowa, lecz przeciwnie, że pod wpływem bolesnych przejść życiowych pesymizm ogarnął jej duszę i podciął skrzydła natchnieniu.

Z Alfreda de Musset.

NAD UMARŁĄ.

Była piękną, jeśli posąg nocy,
Wprawną ręką wykuty rzeźbiarza,
Taki senny, martwy w swej niemocy
I posępny, piękność wyobraża.

Była dobrą, jeśli dość jest złoto
Sypać nędznym z myślą czczą i próżną,
W głębi serca nie pytając o to,
Czy Bóg zechce ten czyn zwać jałmużną.

Myśl w niej była: jeśli słów muzyka
I łagodne, dźwięczne głosu drganie,
Jednostajne jak szmery strumyka,
Zdradza myśli głębokiej otchłanie.

Modliła się: jeśli w ludzkiej mowie,
Para oczów w długich rzęs osłonie,
Co kolejno w górnych szlakach tonie,
I w dół spada, modlitwą się zowie.

Do uśmiechu byłaby też zdolną,
Gdyby w pączku kwiat nierozwinięty
Na zefiru prośbę mimowolną,
Mógł otworzyć skarbów swych ponęty.

I byłaby zapłakała może,
Gdyby dłoń, na sercu jej złożona,
Odczuwała przy chłodnym pozorze,
Głębszych wrażeń niebiańskie znamiona.

Mogła była kochać: ale chciwy
Płomień pychy, jak lampa przy trumnie
Jej uczucia strzegł niepłodnej niwy,
Dając chwastom rozrastać się tłumie.

Ah! umarła, lecz nie żyła wcale,
Bo czyż życiem to nazywać warto?
Księgę z ręki puściła niedbale,
Która dla niej była pustą kartą!

Emilia.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Dnia jednego zastał mnie Sokół na darninie w ulubionej, lipowej alei. Po lekkiem uściśnieniu końcy palców, podanych mu jak zwykle od niechcenia, siadł naprzeciw mnie pogrążonej w milczeniu, lecz przyzwyczajony do przeróżnych zmian mego humoru, nie dziwiło go to bynajmniej.

— Pani taka zamyślona, więc może przeszkadzam? — zapytał Sokół po kilku minutach wstępnego milczenia.

— Myślę o odpowiedzi na jedno pytanie. Po raz pierwszy zastanowiłam się nad tem, co jest życie?

— Zadała pani pytanie najpoważniejsze ze wszystkich pytań na świecie. Doświadczenie odpowie nań kiedyś.

— Chcę to wiedzieć zaraz, dziś — zawołałam żywo.

— Teorya, panno Anno, nie na wiele się przyda w tym razie; praktyka stanowi najgłówniejszą część tej wiadomości.

— Chcę wiedzieć dziś — powtórzyłam.

— Ależ co to za upór, niegodzien prawie długiej sukni dorosłej panny.

— A bardzo grzecznie, mówić mi o tem w oczy.

— Więc wolałaby pani pochlebstwo niż prawdę.

— O! nie, z pewnością nie, przynajmniej w znaczeniu ogólnem, co się jednak tyczy znaczenia szczególnego, to żaden ze znanej mi młodzieży nie wyznałby mi tego tak otwarcie, coby w danej chwili pomyślał o mnie.

— Może ci inni cieszą się właśnie względami pani?

— Wcale nie dbam o nich. Wszyscy są mi zarówno obojętni.

— A jednak niekiedy panno Anno, patrzący na postępowanie pani z nimi, mógłby sądzić inaczej.

Była to leciuteńka przymówka do mej kokieteryi.

— Zdarza się, że ludzie przypisują pozorom to, co rzeczywiście najdalsze jest od nich — rzekłam głośno.

— Dlaczego więc łudzić rozmyślnie drugich, a może i siebie? — zapytał poważnie Sokół.

— Ot! — szepnęłam — zabawka jak wiele innych.

— Nie wszystkiem należy się bawić.

— Ręczę panu, że żaden z tych panów nie domyśla się nawet, jak mało, jak nic nawet znaczą dla mnie. Choćby oni wszyscy, ilu ich jest tylko — zawołałam ze śmiechem — powiesili się w tym lipowym szpalerze, uczułabym najwyżej litość. Jestem bez serca, panie Sokolski.

— Ale bo też byłby to zbyt rozpaczliwy sposób walczenia o zdobycie serca. Taki szereg nieboszczyków.

— A jak, jak — przerwałam ze zdwojoną żywością — walczy się o zdobycie uczuć najgłębszych, serdecznych? — I jednocześnie pomyślałam że i moje gorące pragnienia dążyły do tego celu, a jednak... współczucia nie wywołały.

— Więc, niech mi pan powie o niezawodnym sposobie? — zapytałam znowu.

— Zawsze słowa moje wzbudzają niechęć w pani, więc też i teraz, nie chciałbym narazić się na nią dobrowolnie.

— O! niech panu nic nie zależy na mej chęci, lub niechęci! Proszę myśléć o tem, że powinno się być grzecznym i zadość uczynić życzeniu damy.

Sokół uśmiechnął się wesoło.

— Niech pani zapyta którego z należących do zaciętej walki o względy jej, a odpowie z zapałem.

— Chcę odpowiedzi pana. Tamci wszyscy mówiliby jednakowo, tymczasem pan, odmienny od nich, powie mi coś nowego w tej sprawie.

— Pomówię o tem z panią, ale kiedyindziej.

— Kiedyindziej — powtórzyłam z grymasem.— Nie będę słuchała wtenczas. Czemuż nie załatwić tego natychmiast? Niewiadomo jak długo będziemy razem w Wólce?

— Czy pani ma zamiar opuścić ją?

— Kto wie, może będę miała chęć jechać za granicę z ciocią baronową? Życie światowe, to wesołe, lekkie, szalone życie, takie przyjemne?

— Czy nie sprzykrzyłoby się pani ciągle tylko fruwać na bale, zajmować się urządzaniem proszonych obiadów, wymyślać coraz oryginalniejsze tualety, oddychać salonową atmosferą i po za tem nie miéć już nic głębszego, wyższego do umiłowania i czczenia. Czy dostatecznym byłoby celem dla pani, rywalizować o palmę pierwszeństwa między rówiennicami, o hołdy mężczyzn i t. p. rzeczy, cenione zbyt wysoko prawie w tych gronach ludzi, dla których zabawa stanowi ramy życia. A przecież istnieją poważniejsze obowiązki nad prowadzenie tańców, obowiązki, jakie w kolebce jeszcze świat, rodzina, stosunki, wkładają na nasze ramiona. Uchylać się od nich nikt nie powinien, a ktokolwiek lekceważy je, nie wypełnia należycie, ten jest zły albo lekkomyślny. Dlatego też pędzenie czasu, jak pani nazwała szalone, nie mające styczności z poważniejszemi stronami bytu ludzkiego, musi znużyć szybko każdy sprężystszy umysł, każdą lepszą duszę. Nie wątpię, że pani nie smakowałaby w tem długo.

Podobało mi się przemówienie Sokoła. Myśl się przykuwała mimowolnie do słów jego. Rzucał pojęcia otwierające szerszy horyzont rozumowania.

— A więc pan podejrzywa mnie o posiadanie sprężystego umysłu i lepszej duszy? — zawołałam figlarnie.

Sokoł nie odpowiedział mi, tylko spojrzał długo, przenikliwie, jakoś niezwyczajnie, ale wyraziście, jakby chciał odpowiedzieć: — O! tak.

— Cóż to? — zapytała mama, nadchodząc właśnie. — Anusia i pan Sokolski nie kłócą się dziś tak zapamiętale, jak niekiedy?

— To tylko z fantazyi, mamusiu. Między mną i panem Sokolskim nie może być stałej harmonii. Różnimy się z sobą na każdym punkcie.

— Nie tracę nadziei, panno Anno, zawarcia kiedyś wieczystego traktatu zgody.

— Nigdy, nigdy, to niemożebne.

— Jeszcze pani nie wie, jakich ostateczności chwytam się, dla osiągnięcia zamierzonego celu.

— Ze mną nie uda się panu, wreszcie moja osoba niech się nie przedstawia, jako cel tych heroicznych wysiłków.

— Mamusiu — mówiłam dalej, odwracając się już od Sokoła — mam obiecaną majówkę. Pomyślmy o jej wyprawieniu. Tak chcę się zabawić w licznem kole.

W tydzień później, w najpiękniejszy dzień majowy byliśmy w lesie. Jednak, wbrew chęciom i ogólnemu, wesołemu nastrojowi zebrania, nie używałam majówki z młodzieńczą pustotą, na podobieństwo moich panien znajomych. Wyścigi w bieganiu, tańce na murawie, gry rozmaite nie pociągały mnie w swoje koło. Zniechęcona, apatyczna, siedząc na pniu ściętego dębu, słuchałam licznych deklamacyi żalów, głoszonych przez panów.

— Jakto? czegóż panowie chcecie? Pogoda, humory, jednem słowem wszystko, dopisało majówce dzisiejszej — odpowiadałam.

— Tak, wszystko, z małym a raczej wielkim wyjątkiem, to jest panią.

— Cóż mamy uczynić dla zabawienia jej?

— O! proszę, nie zajmujcie się panowie tą myślą. Może też i ja się bawię w tej chwili, chociaż odmiennie od całego grona.

— Czy zbiera z nas pani wzorki do krytyki?

— Najpierw, wartoby osądzić, czy materyały zdołają wytrzymać najpobłażliwszą choćby krytykę — rzekłam z odrobiną ironii.

— Zapewne pani żartuje tylko — odezwał się pan Wiktor, uchodzący w okolicy za pogromcę serc niewieścich. Był to smagły, przystojny brunecik, ale zakrawający więcej na figurkę wyciętą z dziennika mód, niż na mężczyznę pełnego energii.

— W każdym żarcie jest połowa prawdy. Czy pan nie wie o tem?

— Pani lubi czasem być niemiłosierną i to właśnie dla tych, którzyby na co innego zasługiwali.

— Pan także lubi przeceniać zasługi, a przecież nie ten wygrywa najczęściej kto zasłużony, ale ten co szczęśliwy. Czy i o tem pan nie wiedział?

Brunecik zadąsany nieco przygryzł usta i już nie silił się na rozmowę.

— Panna Anna — rzekł pan Wojciech — poczciwy hreczkosiej, ale zresztą nic więcej nadto — chce nas dziś pokłuć słówkami swemi, zniweczyć, zamęczyć.

— Zupełnie tak samo, jak panowie mnie ciągłymi napadami o branie czynnego udziału w majówce. Czyż mało jest tu innych panien.

— Bardzo wiele, ale... ale... — bąkał pan Wojciech w obawie powiedzenia za wiele, lub za mało.

— Jeśli chcecie panowie zabawić mnie na seryo, niech każdy wejdzie na osobne drzewo i naśladuje głosy ptaków.

A zwracając się do stojącego nieopodal pana Sokolskiego dodałam:

— Będzie to dowcipne i urocze, pana nie stawiam w szeregu tych nowożytnych lekkoskrzydłych. Pójdźmy, poszukajmy mamy!

I zostawiając na miejscu cały sznur kawaleryi, poszłam dalej, śmiejąc się.

Był to nowy wybieg kokieteryi, zastosowany nie do mego towarzysza, lecz do porzuconej młodzieży.

Niech zazdroszczą Sokołowi, pomyślałam, niech się pogniewają.

Prawdopodobnie, że niewinne narzędzie ku temu, t. j. Sokół, domyślał się istotnego znaczenia manewru, o czem utwierdziło mnie spojrzenie jego poważne i jakby trochę smutne, choć nie pojmowałam właściwie, czemu smutne. Z pochyloną głową szedł obok mnie nie mówiąc i słowa.

— Wie pan? Wejście ich na drzewa ucieszyłoby mnie. Byłoby to rzeczą najzabawniejszą — ozwałam się z wybuchem śmiechu.

— Wie pani? — rzekł Sokół, niby odpowiadając swym myślom — że najlepszą rzeczą, jaką ktokolwiek mógłby uczynić dla pani, byłoby wyrwać ją z obecnego trybu życia i otoczenia...

— Dlaczego? — przerwałam.—Czy memu sprężystemu umysłowi i dobrej duszy zagraża jakie niebezpieczeństwo?

— Większe, niż pani może przeczuwać. Jeśli bowiem igraszki z ludźmi, jakich tylokrotnie byłem świadkiem, a do jakiej stałem się dziś bezwiednie i celem, jeśli zamienią się w stały zwyczaj, wówczas panno Anno, straci pani nieskończenie wiele.

— Czy w opinii pana? Ha! ha! ha! ścigajmy się. Goń mnie pan.

— Czy dlatego, aby tamci widzieli?

— Czy pana obowiązkiem jest zwracać mi nieustannie uwagę na to lub owo, a moim znów tłomaczyć się.

— Przepraszam panią — powiedział Sokół dziwnie łagodnie w porównaniu z mojemi słowami ostro wyrzeczonemi.

— Może rzeczywiście postąpiłem czasem niewłaściwie, bo bez nabycia odpowiednich praw ku temu, ale upewniam panią, że to pochodziło z najlepszych zamiarów. Nadto jednak pozwalałem się unosić pewnemu popędowi...

— Dzięki temu byłeś pan często niegrzeczny, więc za karę niech tamci widzą, że uciekam od pana.

I kłusem pobiegłam w głąb.

Oddalony, lecz gwałtowny tentent dał się słyszeć, gdy wszyscy zebrani już do powrotu, stali na skraju leśnej drożyny, łączącej się z szosą. Wszyscy spojrzeli na siebie, zdziwieni tym niespodziewanym odgłosem, aż dopiero po kilku chwilach dość długich, z przerażeniem ujrzeliśmy rozhukanego konia, unoszącego na sobie jakiegoś mężczyznę, który trzymał się oburącz za szyję zwierzęcia i wzrokiem błędnym z trwogi mierzył przestrzeń.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Cesarza niemieckiego

WILHELMA II.

Po uspokojeniu się z żalu spowodowanego śmiercią cesarza Fryderyka, pisma zagraniczne wielce zajmują się szczegółami życia obecnego cesarza Wilhelma II, z których wyjątki ciekawsze w streszczeniu podajemy.

Oto co pisze paryzki *Temps*:

Według słów młodego oficera, który był blizko niego w latach dawnych, książę wracał na wakacye z Kassel, gdzie był w gimnazyum, do Berlina lub Poczdamu i większą część czasu spędzał na czytaniu książek, czytywanych powszechnie przez ówczesne pokolenie młodzieńcze. Szczególnem upodobaniem księcia cieszyły się dzieła Juliusza Verne'a, opisy podróży pełnych niebezpiecznych i awanturniczych przygód. Często też bardzo podróżnicy, wzywani przez następcę tronu Fryderyka, spędzali wieczór w pałacu a młodzi książęta, Wilhelm i Henryk, z zachwytem słuchali ich opowiadań.

Przy stole, w rodzinnem kółku, następca i następczyni tronu często opowiadali dzieciom szczegóły z pobytu swego we Włoszech lub w Anglii. W większej części mówiono w domu następcy tronu po niemiecku lub po angielsku; jeżeli rodzice nie chcieli, aby dzieci ich rozumiały, wówczas używali języka włoskiego.

Dwór cesarza Fryderyka III, gdy był jeszcze następcą tronu, otwarty był dla wszystkich wybitnych mężów, tak z Niemiec jak i z innych krajów pochodzących. W salonach zamku książęcego czytywano wszystko, co tylko na czytanie zasługiwało. Artyści przyjmowani byli ze szczególniejszemi względami przez cesarzową Wiktoryę, która sama malarką będąc, niejednokrotnie portretowała księcia Wilhelma.

Dzięki takiemu otoczeniu umysł młodego księcia rozwijał się szybko, zawsze zaś odznaczał się książę bystrem pojęciem i trafnym sądem o ludziach. Gdy więc w roku 1878 udał się na uniwersytet w Bonn, był już doskonale przygotowanym do dalszych, poważniejszych studyów.

Ładne miasto nad brzegami Renu zapełniło się naraz młodymi książętami, którzy idąc za przykładem dziedzica tronu niemieckiego, zasiadali na ławie uniwersyteckiej. Na listę studentów zapisał się między innymi wielki książę-następca Badeński i książę Ernest Sasko-Meiningeński. Widywano ich wszędzie razem, na ulicach, na przechadzkach; jeździli razem konno, zwiedzali okolice, polowali, robili statkiem wycieczki na Renie.

Książę Wilhelm w towarzystwie swego nauczyciela wojskowego, pana Liebenau i młodego oficera, pana Jacobi, siadywał śród studentów na wykładach prawa, historyi czy ekonomii politycznej. Co rano, bez względu na pogodę, przechodził przez Hofgarten, zdążając do sali uniwersyteckiej.

Zdrowie tylko niezawsze dopisywało księciu, cierpiał często na gwałtowny ból uszu, a pewnego razu na lekcyi fechtunku, potknął się, zwichnął nogę i przez kilka tygodni zmuszony był leżeć w łóżku, używając przymusowego odpoczynku.

Książę bywał bardzo dużo w domach prywatnych. Wszyscy profesorowie uniwersytetu chcieli mieć zaszczyt ugoszczenia go u siebie. Przyjmo-

wał prawie wszystkie zaproszenia, przyglądał się chętnie pojedynkom studentów, tańczył nieraz późno w noc i nie opuszczał żadnego przedstawienia w teatrze w Bonn.

Wstawał zazwyczaj o 5, najpóźniej o 6 rano był już przy pracy.

Gabinet jego pełen był książek, broni i fotografii. Kazał fotografować wszystkie okręta floty niemieckiej i przypatrywał im się z upodobaniem. Wówczas mówił już: „lubię morze", a projektowana podróż do babki, królowej Wiktoryi, do Anglii cieszyła go wielce. W Bonn przystęp do księcia był łatwy. Ze wszystkimi synami wybitnych rodzin niemieckich, będącymi na uniwersytecie, obcował chętnie, rozmawiał z kolegami szczerze, otwarcie, poufale, zmierzając prosto do celu, jak Fryderyk Wielki, mówiono powszechnie.

Usposobienia był raczej wesołego niż poważnego. Lada dowcip mógł go do łez rozśmieszyć a największą jego troską było sprawianie przyjemności wszystkim tym, którzy się do niego zbliżali i zadawalanie ich życzeń.

Co tydzień Liebenau wysyłał następcy tronu długi raport o postępach księcia Wilhelma. Podczas wakacyi letnich 1878 roku książę wraz z panem Jacobi pojechał na wystawę powszechną do Paryża, gdzie zwiedził muzea, salony Wersalu, w których stał długo przed portretami Napoleonidów.

Szczególny podziw w młodym księciu wzbudziło muzeum Cluny.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Ludwik nie zdobyłby się na czyn tak heroiczny. Czas jakiś rozmawiał wesoło, ale myśl jego widocznie czem innem była zajęta.

Wstawszy od stołu poszedł do pokoju synka, chociaż to nie było codziennym u niego zwyczajem, Helena podążyła za nim chcąc się przekonać, jak dalece zdrada może podszywać się pod pozory uczciwości i z nieokreślonem uczuciem spoglądała na Ludwika, swawolącego wesoło z chłopcem. Uśmiechał się do Piotrusia, całował go i bujał na ręku z czułą troskliwością wzorowego ojca. Spokój i swoboda męża zbudziły powątpiewanie w umyśle młodej kobiety. Wszystko czego się obawiała, było może tylko snem przykrym, postanowiła więc, jakim bądź kosztem, przekonać się o prawdziwości swoich domysłów i w tym celu odezwała się do Ludwika:

— Jakie masz projekta na dzisiejszy dzień?

Ludwik podniósł wzrok na żonę a w oczach jego odmalował się niepokój, jak gdyby odczuł tajemną groźbę dźwięczącą w głosie Heleny.

— Dlaczego pytasz mnie o to? — zapytał.

— Umówiłam się z Emilią, że pójdziemy razem wybrać obicie do mojego małego saloniku — odparła bez namysłu Helena — przyjemniejby mi jednak było, gdybyś i ty objawił w tym względzie swoje zdanie.

— O której godzinie masz się z Emilią spotkać?

— O w pół do trzeciej po południu.

Widoczny wyraz niezadowolenia przemknął po twarzy Ludwika.

— Przykro mi, że muszę ci odmówić... towarzyszyłbym ci z rozkoszą... tak rzadko wychodzimy razem... ale interesa przedewszystkiem... właśnie o tej godzinie muszę być w Saint-Dénis.

— Czy nie mógłbyś dać znać, że dziś nie przyjedziesz? Teraz zaledwie pierwsza, masz jeszcze dosyć czasu, Ludwiku, a ja byłabym tak szczęśliwa.

Helena wymówiła ostatnie słowa z takim błagalnym akcentem w głosie i tak czule spojrzała na męża, że Ludwik wzruszyłby się z pewnością, gdyby był patrzył na żonę. Lecz wzrok jego błądził bez celu w przestrzeni a niepokój coraz wyraźniej malował się na twarzy. Wahał się przez chwilę poczem rzekł nieco stłumionym głosem:

— Wybacz mi... ale doprawdy nie mogę zadość uczynić twemu żądaniu... Niepodobieństwo opuszczać tak ważnych interesów.

— Ha! cóż robić! — odparła Helena przyciskając dłonią gwałtownie bijące serce.

Ludwik przysunął się do niej i jakby chcąc prosić o przebaczenie, przyciągnął ją w objęcia i złożył serdeczny pocałunek na jej gładkiem czole. Helena szybko uwolniła się z jego objęć i niesłychanym wysiłkiem woli, powstrzymała łzy gwałtem cisnące jej się do oczu.

Miała nawet tyle męztwa, że przybierając spokojny wyraz twarzy rzekła:

— Do widzenia zatem dziś wieczorem.

Poczem udała się do swego pokoju.

Teraz nie miała już żadnej wątpliwości, lecz zapragnęła posunąć badania jak mogła najdalej i poznać swoją rywalkę. Ubrała się więc jak mogła najspieszniej, włożyła kapelusz i gęstą zapięła woalkę, po za którą trudno było rozpoznać rysów jej twarzy, i wsiadłszy do powozu kazała się zawieść do pałacu Lereboulley. Postanowiła ze wszystkiem zwierzyć się Emilii; gdy mówiła Ludwikowi, że ma się spotkać z młodą dziewczyną, już wtedy w głowie jej powstał zamiar wezwania rady i pomocy przyjaciółki. Ufała jej rozumowi i doświadczeniu, wiedziała że Emilia zna doskonale świat i ludzi i nie zdradzi jej tajemnicy przed nikim. Jej tylko jednej mogła wyjawić swą boleść i ukazać krwawiącą ranę swego serca. Czyż Emilia nie była najszczerszą jej powiernicą? Ona jedna wiedziała o jej wahaniu przed wyborem narzeczonego i wszystkich szczegółach małżeńskiego ich pożycia, które dotychczas niezamąconą cieszyło się harmonią. Być może, że panna Lereboulley ze zwykłą sobie przenikliwością, odgadła już zagadkę nad rozwikłaniem której Helena męczyła się napróżno... Gdyby chciała powiedzieć jej prawdę i oszczędzić bolesnego upokorzenia szpiegowania własnego męża, jakżeż byłaby jej wdzięczną.

— Tak — mówiła sobie w duchu — muszę ją błagać, aby powiedziała mi wszystko co wie o Ludwiku.

I biedna kobieta drżąc z niecierpliwości, pragnąc co rychlej przekonać się o całej rozciągłości swego nieszczęścia, radaby w jednej chwili znaleźć się u Emilii i zadowolnić szkaradną ciekawość, która nie dawała jej pokoju. Zdawało jej się, że konie zbyt wolno idą, że powóz nie rusza się z miejsca.

Wreszcie konie stanęły, Helena szybko wyskoczyła na chodnik i odesławszy powóz do domu, spytyła odźwiernego czy panna Lereboulley jest w domu?

Odetchnęła słysząc twierdzącą odpowiedź, tymczasem odźwierny pociągnął za taśmę od dzwonka i we drzwiach wchodowych ukazał się lokaj.

— Panna Emilia jest w swojej pracowni — oznajmił.

I poprzedzając panią Hérault, zaprowadził ją na drugie piętro, otworzył drzwi i cofnął się natychmiast.

Emilia stojąc przed stalugami, wykończała właśnie obraz przedstawiający olbrzymi pęk kwiatów. Przed nią na stole leżały rozsypane róże, storczyki, hiacynty i liście paproci, które jej za wzór służyły. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwiami obróciła głowę i okrzykiem radości powitała Helenę. Nie porzucając palety pobiegła na jej spotkanie, uścisnęła ją serdecznie i przysunąwszy jej krzesło, posadziła ją tuż koło obrazu. Pani Hérault tymczasem podniosła woalkę i Emilia przeraziła się spojrzawszy na jej twarz bladą i zmienioną.

— Co ci jest? — spytała z niepokojem. — Czy spotkało cię jakie zmartwienie?

Helena twierdząco skinęła głową, nie mogła zdobyć się na słowa, wzruszenie tamowało jej głos w gardle. Przychodząc tu nie myślała że wyznanie własnego nieszczęścia i niecnego postępku męża, tak wiele kosztować ją będzie. Ale Emilia odgadła powód jej wahania i nie czekając odpowiedzi dodała:

— Czy Ludwik jest powodem twego cierpienia?

— Tak — cicho szepnęła Helena.

I wymówiwszy to słowo zaczęła wylewać przed przyjaciółką całą gorycz przepełniającą jej serce, napróżno panna Lereboulley chciała jej przeczyć i zachwiać przekonanie młodej kobiety, Helena uparcie obstawała przy swojem.

— Być może, że ów obwiniający bilecik i dzisiejsza odmowa Ludwika, nie mają ze sobą nic wspólnego. To prosty zbieg okoliczności, nic więcej, uspokajała ją Emilia. Na bilecie nie było daty, może spotkanie naznaczone było na wczoraj ale to jeszcze nie dowód, że Ludwik korzystał z niego. Choćby nawet schadzka dziś miała mieć miejsce, nie powinnaś posądzać męża, ktoż cię upewni, że Ludwik stawi się na wezwanie tej kobiety?

— O wiem aż nadto dobrze, że się nie mylę — odparła pani Hérault, a zresztą przekonam się o tem.

— A to jakim sposobem?

— Będę na niego czatować na ulicy.

— Moja droga nie zrobisz tego choć tak mówisz.

— Zrobię, bądź pewną, że nie żartuję w tej chwili. Pod jednym tylko warunkiem zaniechałabym powziętego zamiaru: jeśli wymienisz mi nazwisko kobiety dla której Ludwik zdradza mnie tak niegodnie.

— A zkądżeż ja mogę to wiedzieć? Poczem mogłabym ją poznać?

— Po bezwstydnem godle, które najgorszy zapowiada charakter. To musi być z gruntu zła i zepsuta kobieta! — zawołała Helena i w tej chwili wyjmując z kieszeni małą książeczkę, wydobyła z niej kartkę z napisem łacińskim i podała ją przyjaciółce.

Emilia spoważniała nagle, gdyż odrazu poznała godło pani Olifaunt. Długo wpatrywała się w papier jak gdyby chciała dobrze wyryć w pamięci każdą literę.

— Biedna Helena! — mówiła sobie w duchu — przyszedł i na nią czas próby i gorzkiego rozczarowania! Serce jej szarpie boleść i zazdrość ale to jeszcze nic w porównaniu z upokorzeniem, jakie jej gotuje zaniedbanie męża. I to ta niegodziwa Dianna jest przyczyną wszystkiego złego, ona po kropelce poić ją będzie trucizną... Drżę na samą myśl jaka przepaść otwiera się pod nogami Heleny.

Obawy Emilii nie były bezzasadne, Dianna nie cofnęłaby się nawet przed występkiem skoro postanowiła dojść do raz zamierzonego celu. Helena także była mężną i odważną i jeśliby wywiązała się walka między temi dwoma kobietami, można było się lękać bardzo poważnych następstw. Emilia postanowiła zatem o ile możności najdłużej utrzymywać Helenę w niepewności i niweczyć jej podejrzenia, aby nie dowiedziała się o nazwisku kochanki. Nie należało więc pozostawiać ją samej sobie, lecz towarzyszyć jej wszędzie i starać się pomieszać jej zamiary.

— Nie znam wcale tego godła i nie wiem kto go używa — rzekła wreszcie Emilia po długiej chwili milczenia — lecz może tak samo posługiwać się niem mężczyzna jak i kobieta...

— Charakter pisma i woń bileciku zdradzają niewątpliwie kobietę — przerwała jej gwałtownie Helena, podrażniona oporem panny Lereboulley.

— No, przypuśćmy że bilecik pisała kobieta i że ta kobieta naznacza schadzkę twemu mężowi na godzinę trzecią po południu, w wiadomym domu przy ulicy de Moscou... Ale cóż na to poradzisz?... Będziesz czekać na ulicy... ale na co czekać?

— Na ukazanie się mego męża i tej kobiety.

— A jeśli owa tajemnicza nieznajoma jest stałą lokatorką tego domu i nie wyjdzie natychmiast?

— O! nie, gdyby tam mieszkała nie byłaby napisała: „spotkamy się przy ulicy de Moscou". To jest miejsce przeznaczone jedynie na miłosną schadzkę.

— Wyrozumiałaś doskonale—odparła z uśmiechem Emilia. — Zmartwienie nie pozbawiło cię zwykłej przenikliwości umysłu.

— Przeciwnie, ono mi sił dodaje — zawołała z zapałem Helena. — O! nie myśl, że ja należę do liczby tych kobiet, których jedyną bronią są łzy i bezcelowe skargi... nie, ja walczyć będę do ostatniego tchnienia w obronie praw moich i mego dziecięcia, ja muszę ocalić honor mego męża!... Nie chcę uciekać się pod opiekę prawa, nie będę żądać seperacyi ani rozwodu, pragnę jedynie odzyskać mojego męża, gdyż on do mnie tylko należy. Ja go kocham pomimo jego szalonych postępków i ufam, że potęgą mej miłości zdołam go na nowo przywiązać do siebie... Cierpię niewymownie teraz ale cierpiałabym nierównie więcej, gdybym go straciła na zawsze. Dlatego też chcę wiedzieć o wszystkiem... nie żeby zbierać dowody mogące mi posłużyć przed kratkami sądowemi lub do zwady i kłótni domowej, ale żeby poznać tę, z którą mam rozpocząć walkę i nauczyć się w jaki sposób mogę ją zwyciężyć.

Panna Lereboulley z podziwem i tkliwością spoglądała na przyjaciółkę. W oczach młodej kobiety błyszczała odwaga, na czole jej groźna zarysowała się zmarszczka. Ręce jej drżały nerwowo a cała istota oddychała niecierpliwem oczekiwaniem walki. W tej chwili wyglądała jak uosobienie odwagi i wytrwałości i spoglądając na nią Emilia odzyskała nieco nadziei. Helena była młodą, piękną i odważną, dlaczegóżby więc nie miała odnieść zwycięztwa nad tą niegodziwą Dianną?

Niestety jednak na świecie częściej występek brał górę nad cnotą, Emilia wiedziała o tem dobrze, gdyż od dzieciństwa patrzyła na rój kobiet starających się o pozyskanie względów jej ojca i żyjących jedynie ze swej piękności. Kobiety te dzięki zbytkom i elegancyi, wdzierały się w każde choćby najwytworniejsze towarzystwo a świat zamiast odepchnąć, przyjmował je z otwartemi rękami. Mąż osłaniający swojem nazwiskiem niecne postępowanie i trochę dobrego obejścia dla ocalenia pozorów, były to jedyne ustępstwa ze strony tych pań, które tym sposobem mogły żyć swobodnie i bezkarnie nęcić ku sobie mężów, synów i braci i z lekceważącym uśmiechem spoglądać na opuszczone małżonki, niespokojne siostry i rozpaczające matki, siejąc wszędzie boleść, żałobę i ruinę.

Niemało podobnych kobiet spotyka się w salonach, teatrach i u wód lub kąpieli morskich, one posiadają najpiękniejsze brylanty i powozy i zajmują pierwszorzędne miejsce w teatrach. Pomimo, że na ucho opowiadają o nich najbardziej skandaliczne historyjki, panie te żyją w przyjaźni nawet z księżnemi, torując sobie drogę do arystokratycznych towarzystw za pomocą uczynków miłosiernych, na które nie żałują pieniędzy lub biorąc udział w przedstawieniach amatorskich na cel dobroczynny. Za niemi ciągnie zazwyczaj rój wielbicieli gotowych płacić za najszaleńsze ich wybryki.

Ze wszystkich podobnego rodzaju kobiet, Dianna była może najgroźniejszą; chciwa i śmiała mieściła w sobie zaród wszystkich złych skłonności jakie objawiać się zwykły w zepsutym charakterze niewieścim. I z nią to Helena chciała rozpocząć walkę nie posiadając innych sprzymierzeńców, jak tylko dumę, odwagę i rozum. Na pomoc Ludwika, który powinien być naturalnym jej obrońcą, bynajmniej liczyć nie mogła, on pierwszy wskazałby nieprzyjaciółce słabą stronę w którą należało uderzyć, aby prawej małżonce zadać cios śmiertelny. A jednak sprawa Heleny była słuszną i wzniosłą i zasługiwała na poparcie, to też Emilia przyrzekła sobie w duchu, że dopomagać jej będzie wszystkiemi siłami.

Przedewszystkiem należało unikać wybuchu pomiędzy Ludwikiem, Dianną i Heleną. Jeżeli schadzka miała mieć miejsce dziś, trzeba było bądź co bądź nie dozwolić, aby przeciwnicy spotkali się na ulicy lub na schodach w obcym domu, i narazili się na ciekawość przechodniów lub plotki służących.

— Pojadę z nią razem skoro nie mogę skłonić jej do odstąpienia od powziętego zamiaru—rzekła sobie w myśli Emilia — jakimbądź kosztem należy uniknąć skandalu.

Tymczasem Helena niespokojnym krokiem przebiegała wszerz i wzdłuż pracownię. Panna Lereboulley przypatrywała się jej pilnie, wreszcie odezwała się z uśmiechem:

— Ponieważ koniecznie upierasz się jechać, pojadę i ja z tobą. Jestem pewna, że nie spotkamy nikogo. W każdym razie powstrzymam cię od popełnienia jakiej niedorzeczności.

Helena nic nie odrzekła tylko z uczuciem ucałowała przyjaciółkę. Emilia zadzwoniła na pannę służącą i kazała przynieść sobie okrycie i kapelusz, poczem obie zeszły na ulicę.

— Widzę, że odesłałaś powóz i dobrze uczyniłaś — rzekła Emilia — ostrożność nigdy nie zawadzi. Weźmiemy dorożkę, jest zaledwo wpół do drugiej, mamy więc dosyć czasu.

Wkrótce dorożka wioząca obie kobiety toczyła się zwolna w kierunku mostu de l'Europe. Helena, która niegdyś z matką mieszkała na bulwarze Batignolles, znała wybornie tę część miasta. Chcąc z jednej i z drugiej strony widzieć przechodzących, kazała dorożce zatrzymać się na połowie odległości od rogu ulicy i nie wysiadając czatować na przyjście męża. Osoba mająca dobry wzrok mogła zdaleka rozpoznać zbliżające się postacie.

— Skoro tylko Ludwik wejdzie do jakiego domu — rzekła Helena do przyjaciółki — przysuniemy się i przed bramą będziemy oczekiwać jego wyjścia.

Plan zasadzki zręcznie był obmyślony i Emilia niemniej wzruszona od samej pani Hérault, w milczeniu słuchała jej poleceń. Helena miała pilnować od strony bulwaru, gdyż przeczucie mówiło jej, że ztamtąd musi przybyć Ludwik a panna Lereboulley przez małe okienko umieszczone w głębi powozu, podjęła się oznajmić jeśliby mąż wbrew oczekiwaniom zjawił się z przeciwnej strony.

Obie kobiety nie obawiały się poznania, gdyż gęste woalki nie dozwalały rozeznać rysów ich twarzy a półcień zalegający wnętrze dorożki ukrywał je jeszcze lepiej. Porozumiawszy się pierwej nie mówiły już teraz ani słowa, lecz przyśpieszony oddech i gwałtowne bicie dwóch serc niespokojnych aż nadto świadczyły o wzruszeniu miotającem niemi.

Helena co chwila prawie spoglądała na zegarek, zdawało jej się, że czas wlecze się nieznośnie wolno. O trzy kwadranse na trzecią Emilia dostrzegła kobietę, w której przenikliwe jej oko po ruchach i wzroście poznało Diannę. Piękna pani ubrana była w skromną suknię z szarej wełny, takiegoż koloru gęsta gazowa woalka osłaniała jej lica. Szła spokojnie bez obawy lub wzruszenia a z całego jej zachowania się znać było, że podobne zdarzenia są dla niej rzeczą powszednią. Emilia drżała z obawy, aby jej Helena nie dostrzegła, pomimo bowiem danego przyjaciółce przyrzeczenia postanowiła nie pisnąć jej ani słówka.

Dianna tymczasem nie doszła do dorożki lecz skręciła w bramę domu odległego o jakie dwadzieścia metrów od oczekujących kobiet.

Jeśli Ludwik przyjdzie z tej samej strony, myślała sobie Emilia, wszystko dziś da się jeszcze załagodzić. Dziś wieczorem będę miała czas uprzedzić Ludwika, aby przypadkiem nie poplątał się jeśli go żona zręcznie badać będzie. Przedstawię mu jakie następstwa pociągnie za sobą jego postępowanie i może zdołam na dobrą naprowadzić go drogę.

Rozmyślania jej przerwał stłumiony okrzyk Heleny, która szybko cofając się w głąb' powozu, wyciągnęła rękę w kierunku bulwarów. Emilia zwróciła wzrok w tamtą stronę i spostrzegła Ludwika, który zbliżał się spokojny, uśmiechnięty, z rękami zagłębionemi w kieszeniach paltota. Przechodząc koło powozu, spojrzał z roztargnieniem na dwie kobiety i nie poznawszy ich wcale, poszedł dalej.

Helena drżąca jak listek wychyliła się za nim i widząc go wchodzącego do domu, gdzie przed chwilą weszła Dianna, chciała wysiąść z powozu.

— Co chcesz uczynić? — spytała Emilia, chwytając ją za rękę.

— Chcę się dowiedzieć, wypytać...

— I do kogóż się zwrócisz z zapytaniem? Do służących albo odźwiernego? Do ludzi obcych, którzy zdziwieni twojem wzruszeniem, przerażeni rozpaczą malującą się w spojrzeniu, mogą przestrzedz twego męża... Nie! Heleno, postępek taki byłby więcej jak nierozsądnym... pozwól mnie działać, ja mam więcej zimnej krwi, dowiem się zatem lepiej od ciebie... czekaj na mnie w powozie, ja nie zabawię długo.

— Niech i tak będzie, śpiesz się, wyglądać będę twego powrotu z niecierpliwością.

Emilia wysiadła i za chwilę znikła w bramie domu. Na podwórzu jakiś parobek mył powóz, odźwierny zabawiał go rozmową siedząc z miotłą w ręku na przewróconym szafliku. Młoda dziewczyna zwróciła się do pokoiku odźwiernego, gdzie zastała małą, szczupłą kobiecinę z wyrazem chytrości i przebiegłości w twarzy. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwiami, kobieta podniosła się z miejsca.

— Moja pani — zaczęła Emilia — chciałam cię prosić o jedno małe objaśnienie.

Mówiąc to wyjęła dwa luidory z eleganckiego, złotem przetykanego woreczka i położyła je na stole. Odźwierna cofnęła się niby zgorszona, lecz oczy jej zapłonęły chciwością na widok czterdziestu franków.

— Jeżeli pani nie żąda nic złego — rzekła — i jeśli mogę oddać pani przysługę...

— Żądanie moje jest całkiem niewinnej natury — odparła Emilia.— Nie chodzi tu bynajmniej ani o wpakowanie komu w głowę kulki z rewolweru, ani o oblanie go witryolejem, bądź pani spokojną... Jeden pan wszedł do tego domu przed chwilą... wiem że ma tutaj wynajęte mieszkanie kawalerskie, gdzie przyjmuje kobietę albo kobiety, tego nie wiem na pewno i mało mnie to obchodzi!... Otóż idzie tylko o to, aby mu w tej chwili oddać karteczkę, którą do niego napiszę... Nie obawiaj się pani niczego, ten pan wdzięcznym będzie, gdyż odda mu pani wielką usługę...

— Czy mam czekać na odpowiedź? — spytała odźwierna.

— Nie, pani, zostawiam bilecik i odchodzę.

I wyjąwszy z kieszeni bilet wizytowy Emilia, nakreśliła na nim ołówkiem następujące wyrazy:

„Twoja żona oczekuje na ciebie w dorożce przed domem. Bądź ostrożny... Nie pozwól Diannie wyjść z mieszkania wcześniej jak za godzinę a sam wychodź jak najprędzej i udaj się w stronę placu Europejskiego. Zanim wrócisz do domu, wstąp do mnie.

Emilia."

— Czy nie ma tu koperty? — spytała.

Odźwierna zaczęła szukać na stoliku i pomiędzy stosem kwitów i starych gazet znalazła jakąś kopertę zmiętą i nieświeżą. Emilia napisała ołówkiem: „Do pana Ludwika" i wsunąwszy w nią bilet, podała ją kobiecie.

— Oto jest. Dziękuję pani.

— Biegnę zaraz — rzekła odźwierna, którą spokój Emilii usposobił przychylnie.

— Bądźcie zdrowi — dodała jeszcze Emilia i szybko pobiegła do powozu.

— I cóż? — bez tchu niemal spytała ją Helena.

— Nikt go nie zna w tym domu, widać, że pierwszy raz się tu znajduje. Lokatorzy są to wszystko ludzie średniej zamożności. Odźwierny wyglądający na porządnego człowieka, twierdzi, że gospodarz nie chce wynajmować mieszkań samym kobietom. Kto wie zatem czy obawy twoje nie są wynikiem rozbujałej wyobraźni.

Helena badawczo spojrzała na przyjaciółkę, której twarz spokojna nie wyrażała najmniejszego podejrzenia i westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi. Cóżby dała za to, aby jej domysły okazały się płonnemi! Ale list bez podpisu, godło, woń odurzająca i Ludwik przybywający na oznaczoną godzinę, czyż to nie dostatecznie potępiające dowody? Prawda, że nie widziała wchodzącej do domu kobiety... ale w takim razie cóżby za cel miała owa potajemna schadzka?

— Pozostańmy tu jeszcze trochę — rzekła.

— I owszem dopóki tylko będziesz chciała — odpowiedziała Emilia, pewna że cała przygoda weźmie taki obrót jaki sobie życzyła.

I znowu zaległo milczenie, obie kobiety siedziały nieruchome z okiem utkwionem w bramę. Upłynął może z kwadrans, gdy Ludwik ukazał się we drzwiach i spokojnie wolnym krokiem poszedł w stronę Europejskiego mostu.

— A to obłudnik co się zowie — powiedziała sobie w duchu Emilia — możnaby się uczyć od niego. Jaką ma niewinną minkę jak jaki świętoszek. Biedna Helena niełatwo zdoła go poskromić!

— No, moja droga — odezwała się głośno — pan małżonek już się oddalił, masz więc najlepszy dowód, że to nie mogła być miłosna schadzka...

— Kto wie jednak czyś ty go nie ostrzegła — przerwała Helena podejrzliwie.

— A to jakim sposobem? Gdyby Ludwik miał w tym domu jakie pokątne mieszkanie, wynająłby je z pewnością pod fałszywem nazwiskiem, zkądżeżbym więc w tak krótkim czasie mogła się o tem dowiedzieć i zawiadomić go? Zresztą w jakim celu miałabym cię zwodzić?

— Przez przyjaźń — odparła Helena potrząsając głową.—Ale jeśli tak jest, to powiem ci otwarcie, że nie dowiodłabyś bynajmniej, że mnie szczerze kochasz. Nie byłoby dla mnie nic przykrzejszego, jak być zmuszoną żyć z ufnością obok człowieka, któryby mnie zdradzał. Mąż mógłby się wtedy wyśmiewać ze mnie, a to okryłoby mnie śmiesznością i przyznaj sama, kochana Emilio, że nic trudniejszego, jak podźwignąć się z tak upakarzającego położenia.

— Uspokój się moja droga. Gdy mąż wieczorem powróci do domu, wybadaj go zręcznie a może sam wytłomaczy ci tę tajemnicę. Teraz jedź już do siebie, ja cię odprowadzę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z DZIEDZINY NAUKI

I NOWYCH WYNALAZKÓW.

Sztuczny jedwab.

We Francyi niejaki pan de Chardonnet wpadł na myśl wyrabiania sztucznego jedwabiu, czyli materyi całkiem do jedwabiu podobnej i opis swego wynalazku przedstawił Akademii paryzkiej.

Manipulacya polega na zmieszaniu, naturalnie w częściach przez wynalazcę określonych, alkoholu z eterem do których dodaje się w małej ilości cellulozy azotowanej, chlorku żelaza lub cyny i kwasu garbnikowego, rozpuszczonogo w alkoholu.

Płyn ten przecedzony w hermetycznie zamkniętym przyrządzie, zlewa się do zbiornika, którego poziomy dzióbek umieszcza się w naczyniu napełnionem wodą, zaprawną nieco kwasem saletrzanym.

Ściekając w ten sposób, wąziutką niteczką do wody, nabiera w wodzie ścisłości i da się jak każda nitka, z łatwością nawijać na kłębek a następnie służyć do przędzenia.

Włókno po wysuszeniu jest szarej lub czarnej barwy; przezroczyste i miękkie w dotknięciu, ma nawet tę zaletę, że z trudnością zapala się od ognia a natomiast przyjmuje wszystkie barwniki, jakie tylko dadzą się rozpuszczać w eterze i alkoholu.

Jeśli ten wynalazek znajdzie zastosowanie w przemyśle, to drogie obecnie jedwabie spaść muszą koniecznie w cenie z powodu tak niebezpiecznej konkurencyi.

Z fotografii.

W obserwatoryum paryzkiem buduje się obecnie dziesięć lunet fotograficznych, które następnie wysłane będą do główniejszych na kuli ziemskiej obserwatoryów, w celu zdjęcia fotograficznej mapy nieba.

Czynność ta zaciekawiająca cały świat uczony, ma się odbyć w początkach przyszłego roku.

Z medycyny.

Doktor Guerder leczy obecnie koklusz za pomocą bardzo prostego i łatwo dającego się zastosować środka, który jednakże uważa za nieomylny.

Tym środkiem jest mieszanina bardzo drobno utartego proszku kwasu borowego z kawą paloną.

Proszek ten za pomocą piórka lub rurki szklanej, wdmuchuje się dwa razy dziennie w nos choremu dziecku a najupartszy koklusz ustępuje najdalej w dwa tygodnie a czasem już po kilku dniach.

Jest-to lekarstwo tak niewinne, że każdy może je bez obawy zastosować, a jeśli w istocie okaże się zbawiennem, to wszystkie matki i dzieci cierpiące na tę nieznośną chorobę, nieskończoną wdzięczność czuć będą dla doktora Guerden'a.

W ostatnich czasach doktorzy doszli do przekonania, że nos nietylko jest organem powonienia, lecz że jako przewodnik oddychania staje się nieraz powodem rozlicznych cierpień. Doktor Hack dowodzi, że często newralgia, migrena, kaszel i astma, są tylko wynikiem podrażnienia nosowego i że lecząc ten organ, otrzymywał rezultaty nader pomyślne.

Śnieżyca robaczliwa.

Miejscowość Thal w okolicach Gracu w Syryi, była widownią niezwykłego zjawiska. Po silnej zamieci śnieżnej, która grubą warstwą pokryła ziemię, ujrzano na bielejących obszarach niezliczone mnóstwo czarnych, malutkich gąsienic nie dłuższych nad dziesięć do piętnastu milimetrów.

Zjawiska takie i dawniej się zdarzały, mianowicie w Węgrzech przy końcu XVII wieku, w Szwecyi w połowie XVIII wieku i wreszcie w Szwajcaryi w 1856 roku. Ludzie nazywali je deszczami

owadowemi i uważali za cud, dopiero później wytłomaczono sobie naturalną ich przyczynę. Wiadomo wszystkim, że gąsienice spędzają zimę ukryte pod korzeniami drzew, liśćmi lub kamieniami, otóż zdarza się, że w czasie odwilży wyłażą one ze swych kryjówek i wędrują dalej, wtedy często unosi je wiatr i porzuca gdzieindziej.

Bywa i tak, że gąsienice wystraszone wyrąbywaniem lasu, szukają spokojniejszego dla siebie schronienia a jeśli wtedy pada deszcz lub śnieg, patrzącym wydaje się, jakoby te gąsienice z deszezem lub śniegiem spadały.

Na potwierdzenie powyższego dowodzenia dodać potrzeba, że zjawiska takie zdarzają się najczęściej w pobliżu lasów bukowych i jodłowych.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Jakkolwiek podobno jesteśmy bardzo muzykalni, rzecz jednak szczególna, że nie możemy się zdobyć na własną orkiestrę, jakich setki posiadają Niemcy. Cudzoziemcy, powiadają dziennikarze, są od nas daleko szczęśliwsi.

Przyjeżdża kapela np. węgierska, po ogródkach w Wiedniu lub Berlinie za dyskę chętnie wygrywająca polki i czardasy; u nas każą sobie płacić dwuzłotówki i publiczność tysiącami napełnia Szwajcarską Dolinę. To samo miało miejsce i w tym roku z orkiestrą najprzód węgierską a potem młodziutkich kadetów.

Dwuzłotówki sypały się gradem, słuchaczów zawsze było pełno, więcej jeszcze oklasków, chociaż w ogóle oprócz marszów dzielnie wykonywanych, reszta z instrumentów dość zużytych wychodziła dość słabo a czasem nawet licho.

Z orkiestrami naszemi inaczej się dzieje, wszystkie bankrutują, gdy cudzoziemskie robią fortuny. Gazeciarze nasi nazywają to *uprzedzeniem*, do wszystkiego co zagraniczne a pogardy dla swojskich wysiłków.

Że posiadamy uprzedzenie do zagranicy zaprzeczyć trudno, ale jak w tym razie nie to jest przyczyną niepowodzeń naszych dyrektorów muzycznych.

Nie popieramy naszych, bo każda jaką dotąd mieliśmy, była lichą zbieraniną artystów, bez wyboru ich wartości.

Pozując na wyborową w porównaniu z dzielnemi orkiestrami zagranicznemi, należycie wyćwiczonemi, cóż dziwnego, że zniechęcały do siebie słuchaczy?

Jaka praca taka była płaca, jaki towar taki pokup.

Węgierska orkiestra i kadetów, cieszyły się powodzeniem, bo w swoim rodzaju były wcale niezłe, idąc więc na ich słuchanie, nikt nie domagał się nadzwyczajności, a niespotykając się z zawodem ponawiał chętnie bywanie.

Niech więc ktoś zabierze się szczerze do zebrania dobrej orkiestry, ale prawdziwie dobrej, nie przez gazeciarzy w godności tej rozkrzyczanej, a z pewnością powodzenie go nie minie sowitym zyskiem przypieczętowane.

Do tego jednak jak do wojny, trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, jakich właśnie brak u nas największy.

Z powiatu Wilejskiego piszą do nas: Rok obecny obfituje w szczury, myszy i krety. W ciągu długiej naszej praktyki gospodarskiej, ani razu nie zdarzyło się nam dostrzedz takiej ilości tych szkodliwych stworzeń, jak tego lata. Uwijają się na łąkach, po polach i ogrodach, przyczyniając zwłaszcza w tych ostatnich znaczne szkody. W niektórych miejscowościach ogrody i sady są literalnie podminowane przez krety i szczury. Labirynt podziemnych lochów przerzyna je w rozmaitych kierunkach, a podnoszona i wyrzucana wciąż w górę ziemia niszczy rośliny, warzywo i młode nawet drzewka owocowe. Kiedy na sprzątniętych polach zabrakło ziarna do pożywienia, szkodnicy ci rzucili się na warzywo całą masą, gryząc je i psując w ziemi. Widzieliśmy już nawet kilka drzewek podgryzionych przez szczury, co w tej porze do rzadkich zjawisk należy, gdyż zwykle napastują je one zimą lub pod wiosnę. Z nastaniem zimy i mrozów, całe te masy szczurów i myszy przeniosą się do gumien, śpichrzów i domów mieszkalnych i rozpoczną pod dachem swą niszczącą pracę. Włościanie dowodzą, iż pojawienie się szczurów w tak olbrzymiej ilości wróży rok głodny. Tymczasem obecny do takich zaliczyć się nie może. Ogólnie urodzaj był więcej niż średni. Sprzęt zboża odbył się w pomyślnych warunkach, rąk roboczych nie brakło, a ceny zboża idą, acz leniwie ku zwyżce.

Budujący przykład. We wsi Święte, mieszka młody wieśniak, chłop, który w zeszłym roku ukończył z patentem, całkowity kurs gimnazyalny w Warszawie. Namawiany przez towarzyszów a po części i rodziców, aby szukał karyery po za obrębem swojej wsi, oparł się pokusom i zamienił szkolny mundur na białą kujawską siermięgę, wziął się do roli. Ojciec, zamożny kmieć, kupił obecnie synowi jednowłókowe gospodarstwo; to gospodarstwo, jesteśmy pewni, służyć będzie za wzór całej wiosce, a właścicielowi da dostatni kawał chleba, którego by może nie znalazł szukając karyery.

Młodemu obywatelowi z pod wieśniaczej strzechy życzymy szczęścia i wytrwałości w obranym zawodzie. Takich oby jak najwięcej przybywało.

Niedawno ogłoszono drugi z kolei bilans jednej z najmłodszych naszych instytucyi przemysłowych, Towarzystwa warszawskiego oczyszczania i sprzedaży okowity.

Bilans obejmuje okres czasu od dnia 1 Lipca r. z. do dnia 30 Czerwca r. b.

Działalność spółki rozwija się jak najpomyślniej a oto kilka dowodów:

Kapitał zakładowy 300,000 rs., podzielony na 400 akcyi; obrót kasowy, 1,086,565 rs., ogólny — 22,405,720 rs.

Cyfra wywiezionej okowity wynosiła 14,524 beczek, zawierających 67,650,448%, czyli 845,630i/' wiader 80%.

Wywóz ten wykazuje zysk z komisowego i refakcyi hamburskiej, gdańskiej i królewieckiej 31,290 rubli.

Zysk na 13,150 beczkach, dostarczonych klijentom dał 3,508 rs.

Czysty zysk uczynił tedy 33,783 rs., z których odpisano 3 proc. za podatek rządowy, 5 proc. na amortyzacyę sumy, włożonej w zakład rektyfikacyjny, 5 proc. na kapitał zasobowy, a resztę w sumie rs. 29,557 kop. 60, do dyspozycyi zebrania ogólnego.

Dyrektorem handlowym spółki jest p. Ksawery Radziszewski; dyrektorami zarządu — Władysław Przyłubski (przewodniczący), Feliks hr. Czacki, Kazimierz Czarnowski, Stanisław Okęcki i Stanisław Zawadzki.

Górą nasze pszenice! W r. z. zarząd stacyi doświadczalnej w Socieszynie rozesłał kilkunastu ziemianom po 15 cie odmian pszenicy i po 5 żyta, dla przeprowadzenia z niemi prób. Próby takie, dokonywane w wielu miejscowościach, są niesłychanie dla praktyki ważne, mają bowiem ostatecznie przekonać: które mianowicie odmiany ziarna w naszych warunkach najkorzystniej uprawiać. Z tego też powodu i sprawozdania z czynionych w tej mierze doświadczeń, przedstawiają najżywszy dla rolników interes. Sprawozdania takie zamieszcza stale *Gazeta rolnicza*. Oprócz wyczerpujących raportów kierownika stacyi Sobieszyńskiej prof. T. Cichockiego, pismo to w ostatnim numerze podaje sprawozdanie z prób, jakie przeprowadził w majątku swoim, Chmielniku, p. Maksymiljan Dobrski. Rezultat to niezwykle ciekawy i pouczający. Pokazuje się zeń, że wszelkie zagraniczne odmiany niewiele warte, natomiast nasze wydały rezultat przechodzący wszelkie oczekiwania. Tak np. podczas, gdy pszenica „Aleph“ wyginęła, a „Bordeaux“ w kilkunastu tylko urodziła się kłosach, „Modliborzycka“ dała najwyższy plon, po niej zaś idzie „Płocka“. Po tej z kolei następuje „Sandomierka“ i t. d. Polecamy uwadze rolników nader pouczające sprawozdanie p. D. z którego oczywiście, nie mogliśmy nawet najważniejszych cyfr przytoczyć. Nadmienimy tylko, że dodana do pracy tej tabela ułatwi orjentowanie się na pierwszy rzut oka.

Slöjd w Krakowie. Korespondent nasz donosi, iż zapowiedziana i budząca tyle zajęcia szkoła zręczności została otworzoną w Krakowie, w lokalu Collegium Juridicum. Inspektor szkół okręgu zamiejskiego, p. Spis, jest inicyatorem tak zwanego „Slöjdu“ u nas. Nazwa i rzecz sama przeniesiona na grunt polski ze Szwecyi; doskonałemi cieszył się rezultatami kurs podobny, otworzony dla nauczycieli szkół ludowych w Sokalu, przez wakacyjne miesiące. Nietylko uczniowie korzystali, ale włościanie okoliczni wykonywali za danemi wskazówkami sprzęty i naczynia niezbędne w domu. Zaczyna się od gładkiego wystruganego drewienka, w rodzaju rączki do pióra, a przechodzi stopniowo do stu modeli, coraz bardziej artystycznie wykonanych, które odbywa się tym sposobem, iż najprzód nożykiem trzeba wystrugać szczapkę drzewa, o ile możności równo, poczem wygładza się za pomocą raszpli i papieru szmerglowego. Praca ta wyrabia siłę fizyczną, wprawę oka, zręczność, smak estetyczny i praktyczność, gimnastykując niejako ręce, piersi i płuca. Przyzwyczaja młodość do pożytecznego zajęcia. Nauka jest bezpłatną, tylko 1 złr. wpisowego się składa. Bardzo żywe zajęcie tą nowością objawia się w kole nauczycielskiem.

W jesieni, w Petersburgu ma być otwartą pierwsza prywatna szkoła handlowa dla kobiet, do której przyjmowane będą uczenice, mające przynajmniej świadectwo z ukończenia szkoły trzyklasowej miejskiej.

W stolicy nadsekwańskiej wiele wrzawy sprawia obecnie skandal, wywołany oskarżeniem, z jakiem wystąpił p. Gilly.

Historya ta ciągnie się już od dwóch tygodni a ma stać się jeszcze głośniejszą z otwarciem izby deputowanych.

Ów p. Gilly, o którym dotąd nie słyszał nikt, denuncyuje członków komisyi budżetowej, oświadczając, że między niemi jest 20 Wilsonów, t. j. takich szalbierzy i oszustów, jak smutnej pamięci zięć prezydenta Grévy'ego.

Członkom komisyi rzucił on w oczy takie oskarżenie:

„Jeżeli kłamię, jeżeli was spotwarzam, mówiąc, że żyjecie z łapówek, z pieniędzy kradzionych, wytoczcie mi proces.

„Cztery lata temu byliście tak biedni, że mogliście zaledwie płacić za żywność, dziś opływacie w złoto, sypiecie pieniądze na wszystkie strony.

„Więc zkądże się wzięły te nagłe majątki? Wykażcie ich pochodzenie?

„Że nie jest ono uczciwe, mam na to dowody, które niebawem ogłoszę.

„Zamiast dbać o dobro Francyi, myślicie tylko o napełnianiu własnych kieszeni.“

Zrazu całe oskarżenie chciano ośmieszyć, chciano przemienić w farsę, lecz i te zabiegi straciły teraz jakiekolwiek poparcie, zwłaszcza, że p. Gilly wystosował w tych dniach list do dzienników, w którym obowiązuje się dowieść, że słusznemi są jego zarzuty.

Co więcej p. Gilly, który jest podobno deputowanym, zamierza tę sprawę poruszyć na otwarciu izby publicznie, z katedry.

Oskarżeni członkowie komisyi dotąd zachowują się zupełnie cicho, nie żądają procesu przeciw „spotwarzającemu ich Gilly'emu, a gdy komuś wydała się ta obojętność dwuznaczną, tłomaczyli się, że nie wypada żadną miarą rozmazywać takich napaści i kwestyę uważają za zamkniętą.

Długo jednak nie będą mogli siedzieć tak cichaczem, gdyż sprawa stanie się całkiem publiczną, kiedy o niej będzie mowa w izbie.

Patentowane piękności. Oto parę szczegółów o pięknościach, które otrzymały Parysowe jabłko na konkursie w Spaa. Panna Marta Soucarès, uznana jednogłośnie za królowę, ma lat 18. Jestto blondynka z czarnemi oczyma, wzrostu wyżej średniego, trochę za pełnej tuszy. Główka jest zachwycająca. Od kilku lat panna Soukarès, rodem jak wiadomo, z Gwadalupy, zamieszkuje w Paryżu przy ulicy Miromesnil. Na konkurs ubrana była w różową adamaszkową suknię w bukiety w stylu Ludwika XV, przykrytą różowym tiulem. Sędziowie w Spaa mają widoczną słabość do blondynek. Trzecia nagroda udzieloną została pani Stevens, rodem z Wiednia, lecz zamieszkującej również w Paryżu. Jasnowłosa z czarnemi oczyma, wysmukła, majestatyczna, pani Stevens ma lat 22. Jest serdeczną przyjaciółką panny Soucarès. Na konkursie miała suknię koloru vert Nil materya i fason w stylu Ludwika XVI. Obie toalety wyszły z pierwszych paryzkich magazynów.

Rozmowa w wagonie. Witam, witam, gdzież jedziesz panie... ah! przepraszam byłem pewny, że to pan Ignacy, mój dobrze znajomy. Przepraszam, stokrotnie przepraszam...

— Nic nie szkodzi, takie pomyłki zdarzają się często.

— Zdaje mi się jednak, że pana dobrodzieja miałem kiedyś przyjemność...

— I mnie również.

— Czy to nie było czasem w Paryżu?

— Być może.

— Jak pan dawno był w Paryżu?

— Nigdy w nim nie byłem.

— Aha! rozumiem.

— Cieszy mnie to wielce.

* * *

— Kłamstwo kto utrzymuje, że wino wzmacnia. Dzisiaj przy śniadaniu najmniej dwie butelki wypiłem, a na nogach ledwo utrzymać się mogę.

RÓŻNE MYŚLI.

Dobre przykłady pokazują, że cnota jest możliwa.

Saint Réal.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Ewelinie Cichockiej. Za przesłane początkowe dodatki, zapłaty niepobieramy. Fabryka Lotha przy Krakowskiem-Przedmieściu, przerabia kapelusze filcowe na modne fasony.

P. Edwardowi Maryańskiemu w Jarmolincu. Resztę od prenumeraty kop. 25 oddano biednej siedemdziesięcioletniej B. S. bezsilnej, do pracy niezdolnej, nie mającej żadnych funduszów utrzymania a nawet i przyodziewku cieplejszego na zimę. Prosimy też wszystkich o obdarzenie jej czemsić z garderoby, choćby rzeczami już używanemi, bo stan jej bardzo opłakany.

Pani Klotyldzie Mr. w Petersburgu. Przyjaciel Dzieci, zdaje się, że odpowie zupełnie życzeniu, bo uczy, bawi, a nigdy nie nudzi. Z przesyłką pocztową kosztuje kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Autorowi poetycznych utworów. Wiersz p. t. Jesienią, byłby dobry, gdyby dały się zmienić dwa wiersze: *Rozbiera drzewa do naga...* i *Matką zgnilizny. Za szczęściem w pogoni,* myśl nie jasna. Co to znaczy, *że kto buja w przestworze ma gwiazdy mazorze, praktycznym mężem nie będzie.* Co to za *rącze źrebce,* co autor *oddał młodszemu od siebie.* W wierszu p. t. *Czas wszystko zburzy,* wyrażenie, że *na stepie raz jest pogoda to znów deszcz trzepie,* może rozśmieszyć. Ostatni wierszyk mówi o przyjaźni i miłości ale nie ich przedstawia tylko największą podłość i nikczemność, nic więc dziwnego, że woła na nie: precz! Forma jednak jest dość staranna, nawet i łatwości w tworzeniu nie brak, tylko należałoby lepiej wykształcić gust i rozważnie uporządkować myśli.

ZAWIADOMIENIA.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 29 Сентября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.